№ 16.

Warszawa dnia 9/21 Kwietnia R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

PRZEGLĄD HISTORYCZNY

CZASÓW CERVANTESA AUTORA DON KISZOTA.

(Dalszy ciąg).

Jakkolwiek w Hiszpanji w obec przewagi Maurów, reforma religijna zupełnie się nie rozwinęła i wyjąwszy kilku zagorzalszych mistyków o wierze nawet nie rozmawiano, jednak pod pozorem religijnéj gorliwości, Inkwizycją jak powiedzieliśmy, nietylko zachował Karol V, ale nawet polecił ją synowi swemu Filipowi.

Walka więc zawrzała w całéj Hiszpanji, i w takich to czasach urodził się Cervantes, mający w literaturze przeważyć zwycięztwo na stronę rodzinnego pierwiastku zbyt owładniętego wpływem starych klassyków.

Był on najmłodszym z rodzeństwa, złożonego z dwóch siostr i brata najstarszego. Przodkowie jego Saavedrowie północni górale, przed pięciuset jeszcze laty najpierwsi wystąpili przeciw Maurom, pragnąc wydobyć Hiszpanją z pod ich władzy. Odważni, waleczni, zawsze na przodzie, pod przewództwem swoich królów z Galicji przeszli do Kastylji, potem do Andaluzji, i tak przechodząc całą Hiszpanją, ukończyli wreszcie pracę przechodzącą z pokolenia na pokolenie, ciesząc się pomyślnem uwieńczeniem swego poświęcenia. To ciągłe bojowanie ubożąc ich, podniosło w zamian niezmiernie dumę, w któréj wychowany młody Cervantes, nigdy o niéj nie zapomniał i był przez całe życie wiernym przedstawicielem chwały swych przodków, w spadku otrzymanéj.

W owym czasie żywot hiszpańskich hidalgów szlachty zubożałéj, był niezmiernie prosty, żadną nie zalecający się wykwintnością. Najczęściéj dom z zabudowaniami i kilkanaście morgów gruntu stanowiły całe ich mienie, a chociaż chodzili w płóciennéj odzieży, chowali jednak psy myśliwskie, konie wierzchowe, i otaczali czcią szczególnego poszanowania zbroje przodków. W takich domach urodzona młodzież, od dziecka miała wpojoną cześć dla swéj rodowitości, i uważanie tytułu hidalga za największy zaszczyt, jakiemu żaden inny zrównać nie może. O nauce mniéj daleko myślano, i uważano ją tylko jako konieczność powierzchownego poloru, a nie przedmiot bezpośrednio pożyteczny, podnoszący dopiero człowieka na właściwe mu stanowisko. Podobnie był wychowany Cervantes w domu ubogich swych rodziców, a wiadomości jakie nabył i wyrobienie późniejsze wrodzonych zdolności, winien był tylko niezmordowanéj pracy, któréj już do końca życia nie porzucił.

Po powrocie ze szkół z Madrytu osiadł w rodzinnem swem mieście Alcala de Hènarès, które choć arabskiem było z nazwy i pochodzenia, stanowiło jednak ognisko ówczesnéj całego kraju oświaty. Położone o sześć mil od Madrytu, w pięknéj malowniczéj dolinie, garnęło w mury swoje zamożniejszą młodzież w celu słuchania nauk wykładanych w miejscowym uniwersytecie. Żyjąc z nią Cervantes, mimo woli ulegał otaczającemu go wpływowi naukowemu, czując jednak nieprzezwyciężony wstręt do zestarzałego sposobu nauczania, nie wszedł do uniwersytetu co stało się dlań powodem wielu w przyszłości goryczy. Obznajmiwszy się cokolwiek z literaturą starożytną i nowożytną, zaczął pisać wiersze chwalone niezmiernie przez jednego z jego nauczycieli Juana Lopez, który go od poezji nie tylko nie zniechęcał, ale przeciwnie, pociąg wrodzony podsycał. Młodzieniec też nie żałował pióra, a nienawidząc pedanterji naukowéj, szczypał zjadliwemi docinkami upatentowanych mędrców, odpłacających mu się wielką pogardą i lekceważeniem.

W owym czasie stałego teatru nie było w Alcala ani w Madrycie, i przedstawienia dawane były pod

gołem niebem. Komedja dzieliła się na boską i ludzką, i do pierwszych należały przedstawienia żywotów Świętych, różne mysterje i akta sakramentalne prawie zawsze grywane w uroczyte święta; komedje zaś ludzkie były bohaterskie, historyczne, mitologiczne lub społeczne, pisane zwykle kwiecistym poetycznym językiem. Pierwszy Lope de Rueda fabrykant malarskiego złota, wsławiony późniéj jako rzadkiéj komiczności artysta i niepospolity dramatyczny pisarz, zrozumiał, że język w komedjach powinien być o ile można jak najnaturalniejszym, a do osnowy, należy brać narodowe śmieszności i obyczaje. Od niego datuje się dopiero w Hiszpanji reforma teatralna, nic więc dziwnego, że człowiek tak pojmujący sztukę, któréj kierunek przeczuwała ognista dusza Cervantesa, stał się jego największym ulubieńcem i mistrzem. Jak więc tylko Lope de Rueda przybył do Alcala, Cervantes natychmiast się z nim zaprzyjaźnił, i nieopuszczał ani jednéj reprezentacji w któréj ten słynny komik występował.

Ale życie to pełne swobody, trawione na zabawkach poetycznych w krótce przerwane zostało śmiercią rodziców i twardą koniecznością zarabiania na chleb powszedni. Dla młodéj ówczasowéj szlachty tylko dwa zawody stały otworem, stan duchowny lub wojskowy. Do sukienki zakonnéj nęciło go satyryczne usposobienie duszy, pragnące wpływ korzystny wywierać na moralność narodu, do wojska ciągnął go tradycyjny obyczaj, wyrosły na orężnéj sławie przodków. Namyślając się więc dosyć długo, obrał pośrednią, drogę i mając zaledwie lat dwadzieścia, przyjął obowiązki pazia na dworze kardynała Acquaviva, udającego się do Rzymu. W prędce jednak gabinetowem życiem znudzony, zaciągnął się do wojska papiezkiego pod dowództwo Marka Antoniego Colonny, przeznaczonego w pomoc mieszkańcom wyspy Cypru, obleganéj przez sułtana Selima. Ponieważ mimo namowy papieża Pijusa V, żadne mocarstwo z pomocą nie przybyło, wyprawa więc niepowiodła się i Cypr dostał się w ręce nieprzyjaciół. Grożące jednak niebezpieczeństwo od potęgi muzułmańskiéj, nieoględnym otworzyło oczy, przygotowano więc nową wyprawę, złożoną z flot papiezkiéj, hiszpańskiéj i weneckiéj, i oddano ją pod dowództwo Don-Juana austryjackiego. Cervantes należał także do szeregów wojennych, spotkanie nastąpiło dnia 5 Października 1571 r. w walce zwanéj pod Lepantem, a chociaż Turcy w niezmiernie przeważnéj znajdowali się sile, jednak zostali na głowę pobici tracąc przeszło 20,000 w zabitych i tyluż rannych lub wziętych w niewolą. Przytem 15,000 chrześcjan znajdujących się na galerach tureckich odzyskało wolność, a że zwycięztwo było nadzwyczaj wątpliwe i zupełnie nie przewidziane, najlepiéj świadczy radość papieża Pijusa V, który dowiedziawszy się o pomyślnym wypadku zawołał, wznosząc dziękczynnie ręce ku niebu:

— Był człowiek miły Bogu, któremu imię było Jan!

Zazdrosny Filip II i nielubiący don Juana Austryjackiego, pobocznego swego brata, słysząc wszędzie pochwały oddawane talentom i odwadze don Juana, rzekł:

— Prawda że zwyciężył. ale za nadto się narażał."

Cervantes w bitwie téj stracił lewą rękę, ale tak był przejęty ważnością odniesionego zwycięztwa, że nie tylko przez cały ciąg żywota, nie sarknął na swoje kalectwo, ale przeciwnie chlubił się nią, powiadając zawsze:

— I ja byłem pod Lepantem, a że nie próżnym widzem, to najlepiéj świadczy brak téj ręki."

Nie opuścił jednak służby wojskowéj, był pod Nawarynem i pod Tunis, i dopiero w lat cztery zatęskniwszy do ojczyzny wybrał się w drogę morzem z Neapolu, zaopatrzony w polecające listy do samego króla Filipa II. Ponieważ Cervantes był w ówczas tylko prostym żołnierzem, pamięć zatem dowódzców powierzających go wysokiéj króla [opiece, dowodzi jasno poważania i szacunku, jakie choć młody umiał dla siebie zaskarbić.

Na nieszczęście jednak listy te stały się powodem wielkiego dla niego nieszczęścia, galera bowiem którą płynął, w podróży napadnięta została przez algierskich rozbójników, a ci sądząc, iż w osobie Cervantesa pod skromną szatą znajduje się jakaś bogata znakomitość, kiedy nią ośmielają się zaprzątać aż samego króla, zawieźli go do Algieru i oświadczyli, że nie wypuszczą inaczéj jak tylko za bardzo wielkim okupem. Był to wypadek najboleśniejszy w życiu Cervantesa, rozpoczynający szereg dni pełnych niedoli, o których wspominał zawsze z największą grozą i oburzeniem.

(d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

PANNA ROYER I PETRONA LUNIE.

Kwestja równouprawnienia kobiet żywo zajmuje umysły we Francji, Anglji i w Stanach zjednoczonych. Przed kilkunastu laty, niektóre kobiety dla okazania, że się zupełnie uzdolniły do piastowania bez żadnych ograniczeń godności obywatelskiéj, poczęły wywijać szpicrutą, zajeżdżać konie, zapijać z pełnych kielichów, zachwycać się cygarami, strzelać zwierzynę, lub czasem do siebie jak wypadło.

Podobnych ekscentryczności szczególniéj Ameryka i Anglja były widownią, we Francji mniéj się przytrafiały, w Niemczech rzadziéj, a u nas tylko jak dalekie echo, reprezentowane były przez jednostki, wytykane palcem młodzieży, a przez starców i lud wiejski jako dziwo jakie zażegnywane. Nienaturalność ta jak każda śmieszność upadła, nie przynosząc najmniejszéj korzyści dla wielkiego słowa emancypacji kobiet. Dziś wszyscy już pojmują, że emancypacja ta nie zasadza się na powierzchownem przybieraniu obyczajów męzkich, ale na spotęgowaniu sił moralnych kobiety, aby w szrankach życia ludzkiego, mogły opiekę i stanowisko same w sobie znaleść. Zgodzono się zatem, aby wychowanie kobiet i kształcenie, rozwijane były w kierunku więcéj praktycznym, żeby bogate umiały same zarządzać posiadanym majątkiem z dokładną znajomością wszelkich przywią-

zanych do niego czynności, ubogie zaś aby umiejętną jaką pracą, wyzwoliły się z pod koniecznéj opieki ojca, braci lub męża, która nie każdéj może być udziałem. Tak pojmowana i rozwinięta emancypacja kobiet, stanie się ich zaszczytem i zbawieniem.

Pod tym względem Amerykanki stoją na czele, Francuzki podążają za niemi, często stając się bardzo niebezpiecznemi rywalkami dla męzkiego rodu, nawet w dziedzinie ściśle naukowéj. Obecnie szereg znakomitych myślicielek, powiększony został nazwiskiem panny A. Royer, która nie tylko przetłumaczyła z angielskiego dzieło: O początku rass ludzkich, ale nadto objaśniła je licznemi dopisami. Wiadomo, że niektórzy uczeni wbrew powadze Pisma Ś-go wyprowadzali ród ludzki od kilku Adamów, inni początek jego naznaczali w każdéj miejscowości, przeciwko tym jednak rozumowaniom powstało bardzo wielu znakomitych myślicieli, dowodząc zwycięzko jedności rodu ludzkiego, który wychodząc ze wspólnego pnia, w rozrodzeniu swem, przybrał cechy zgodne z miejscowością, tworząc tym sposobem narodowości, często ścierające się z zobą, wspólnie jednak podążające w jednéj myśli Bożéj. Panna Royer w dopiskach swych, oświadcza się stanowczo za jednością rodu ludzkiego, dowodzi gruntownéj znajomości nie tylko nauk ścisłych, ale i filozoficznych.

Drugim faktem więcéj dramatycznym, dowodzącym niepospolitéj odwagi kobiecéj, dostarcza nam Ameryka. Znanem jest nazwisko Juljusza Gerarda, sławnego pogromcy lwów afrykańskich, który jeżeli pożyje jeszcze z jakie lat dwadzieścia, to z owych zwierząt w pustyniach Afryki pozostanie tylko tradycja, jak u nas z bobrów, znajdujących się niegdyś nad brzegami Narwi. Pan Branicki Konstanty należy także do bardzo odważnych łowców tegoczesnych, którego sumienie obciąża niewątpliwie życie nie jednego lwa, a nawet lwicy. Obadwa jednak muszą pierwszeństwa ustąpić niejakiéj Petronie Lunie zwyczajnéj robotnicy, mieszkance południowéj Ameryki. Na spotkanie bowiem tego strasznego zwierza, idą ze strzelbą i z dzidą żelazną w ręku, których doskonale umieją używać, zaś Petrona Lunie zabija tygrysy pałką drewnianą, w dodatku częstując ich trafnem pchnięciem długiego noża.

Dnia 27 Listopada r. z. do kolonji w któréj mieszka, przybiegł młody robotnik Ignacy Loba z doniesieniem, że w niedalekiéj odległości znajduje się tygrys. Wiadomość ta poruszyła wszystkich robotników, z których nie jeden utracił swój dobytek przez napad tych strasznych nieprzyjaciół. Pomiędzy licznemi ochotnikami uzbrojonemi w broń palną na zagładę dzikiego zwierza, znajdowała się i Petrona Lunie na koniu, z przywiązaną do siodła grubą pałką dębową, i z wetkniętym za pas, długim nożem nakształt sztyletu. Towarzyszył jéj młody chłopiec co pierwszy nadbiegł z wieścią i kilka psów zawziętych nieprzyjaciół tygrysów. Psy w krótce zwietrzyły strasznego zwierza i jak tylko dobiegły do legowiska, z zawziętością rzuciły się na niego. Tygrys podniósł się, ryknął straszliwie i ze ślepiów sypnął iskrami takiego gniewu, że zdawało się, iż zwrotnikowe szuwary otaczające go, zabłysną płomieniem. Gardząc tak słabemi przeciwnikami, z mrukiem podniósł łapę, i za jednem uderzeniem zdruzgotał dwóch najbliższych brytanów, odrzucając ich daleko od siebie. W téj chwili jeden z psów pasterskich szczególny ulubieniec Petrony Lunie, chwycił tygrysa za gardło, zatapiając kły z całą zapalczywością. Tygrys z bólu dał skok szalony, psisko upadł na ziemię i kiedy gotował się do nowéj napaści, tygrys pochwycił go łapami. Koniec łatwy był do przewidzenia, w ówczas Petrona przejęta żalem za ulubieńcem, krzyknęła:

— Ach! niegodziwiec, zamorduje mi mego faworyta.“

I nie zważając na niebezpieczeństwo, zeskakuje z konia, i pałką tak silne uderzenie wymierza w łeb tygrysa, że ten zachwiał się i psa wypuścił nie wiele nawet uszkodzonego. Za drugim ciosem tygrys bezwładnie wyciągnął się na murawie, ale nie dowierzając mu Petrona, wydobywa nóż i zatapia go w sercu zwierza po samą klingę. Kiedy robotnicy nadbiegli, tygrys już był przytroczony do siodła, i nie mogąc się nadziwić tak prędkiemu rozwiązaniu dramatu, odważną dziewicę uczcili ogólnem uwielbieniem.

Petrona Lunie ma lat trzydzieści, chociaż znacznie wydaje się młodszą, a pomimo tego niemal bohaterskigo czynu, nie ma nic w sobie męzkiego, jest cichą, skromną, potulną, i zarazem odważną, gdy idzie o nakazanie dla siebie szacunku. Poznali to z własną szkodą liczni wielbiciele Petrony, którzy wprzód nie wiele się nią zajmując, późniéj sypnęli się rojem, zbyt natarczywie szturmując do serca młodéj bohaterki.

O ile potęga umysłu jest wyższą od siły fizycznéj, o tyle i panna Royer przewyższa Petronę Lunie, zawsze jednak zdarzenie to jest dowodem, że i w kobietach odwaga i siła do wysokiego stopnia mogą być rozwinięte.

Wreszcie w wychowaniu kobiet, tak mało jest ogólnie baczenia na rozwój ich fizycznéj budowy, że fakt podany nabiera wyjątkowego znaczenia.

Nie idzie nam tu jednak o to, aby kobiety wychowywały się na amazonki, nie lękające się ani lwów, ani ludzi, łamiące podkowy, szczerbiące miecze i dzwigające centnarowe ciężary.

Chciałbym tylko, aby gimnastyczne ćwiczenia do tyla wpłynęły, na ich rozwój fizyczny, żeby po kilkuset krokach przechadzki nie ustawały, w połowie cokolwiek większéj góry nie upadały na siłach, na najmniejszem wyniesieniu nie mdlały, za stuknięciem nie wzdrygały się.

To wszystko zmienić może w dziecinnym wieku zupełna swoboda w bieganiu, bez względu czy słońce świeci, czy się chmurzy, czy sucho czy wilgotno, czy wiatr czy cisza, a gimnastyka w latach młodzieńczych. Dotąd swoboda w zabawie dziewczynek niezmiernie jest krępowana, gimnastyka mało upowszechniona, dla tego ileż to znajdzie panienek, zdających się, że je pierwszy lepszy wicher porwie i uniesie, podmuch wiatru przetnie na poły, a dobra mucha złamie i pokona.

Święta Wielkanocne o których zapomniałem zupełnie w moich korrespondencjach przepędziliśmy w wielkiéj ciszy i w prawdziwem rozpamiętywaniu męki Zbawiciela. O godzinę jazdy, znajomy mój ma pod Paryżem własną winnicę, dom, zabudowania, kilka morgów gruntu i przytem z kamienia wyrabia krzyże, schody, ławki, futryny, odrzwia, posadzki i t. d. Żonaty, ma i dzieci, kocha je i pieści

zupełnie po naszemu, ale taką brzydotę jak szanowna jego małżonka i cała młoda generacja, pierwszy raz w życiu widziałem. Nie przeszkadza mu to jednak być szczęśliwym i zadowolonym z życia, zwłaszcza że dochody ma bardzo przyzwoite. Zaprosiliśmy go na święcone, jadł z prawdziwie kamieniarskim apetytem, co gosposię naszą cokolwiek zaniepokoiło, aby to na nas nie oddziałało. Na szczęście skończyło się wszystko na obawie, w rezultacie nic nie przekroczyliśmy wyrachowania naszéj zacnéj gosposi i jeszcze na drugi dzień suta na stole pyszniła się zastawa. Jakkolwiek Francuzi nie urządzają święconego, muszą jednak w czasie świąt zjadać więcéj niż zwykle wieprzowiny, bo przez cały wielki tydzień, w różnych punktach Paryża szczególniéj na placach i bulwarach podrzędnych, urządzają składy szynek rozmaitego gatunku. Jajkiem nie dzielą się jak u nas, ale w każdym domu dzieci bezwarunkowo są obdarzane jajami z cukru.

Pogadanka Tygodniowa.

Gminna wróżebna przypowieść utrzymuje, że:

Kwiecień
Plecień
Bo przeplata,
Trochę zimy trochę lata.

nadto:

Niesie przysłowie,
Co mędrzec nie zgadnie, to głupi przepowie.

O ile w tem wszystkiem mieści się prawdy, nie umiem powiedzieć, wiem tylko, że wybryczków zimowych już dawno nie doświadczaliśmy, że słońce coraz nam piękniéj i weseléj przyświeca, skrzydlata rzesza coraz rezolutniéj śpiewa, kasztany szybko rozwijają się, trawniki podrastają, a fujarki trelują. Wiosna więc zaczyna chwalić się wszystkiemi powabami, zwłaszcza, że ją dzielnie wspierają całe zagony u niektórych ogrodników kwitnących fijołków, grzyby smardze pojawione na targach tutejszych, szczaw, rzodkiewki i już czynny wodotrysk w Saskim ogrodzie. Że jednak modrzew pączków nie wypuszcza, to troszkę niepokoi, według bowiem postrzeżeń leśników, ma on być najlepszym znawcą trwałości rozpoczętéj wiosny, i jeżeli zima trzyma jeszcze w zapasie jakie resztki ze swoich łakoci, nie da się ułudzić niczem, nawet tęczą i grzmotami, jakiemi górne strefy już obdarzały Warszawę. Cieszmy się więc wiosną, ale nie dowierzajmy jej zbytecznie.

Gdyby to odmładzanie się ziemi, owa cudowna od miana czasu, mogła równie zbawiennie wpływać na niektórych ludzi i zimoworogowe ich serca twarde jak lód głowy, pobudzać do czynów miłością i rozumem nacechowanych, każdą wiosnę witałbym z potrójną radością, Dziś niestety! często na malutką jej cząsteczkę materjału nie starczy, nie dlatego żebyśmy mieli być coraz gorsi, ale że nie jesteśmy o tyle lepsi jak to być może i powinno. Nie mówię tu o klasie tak zwanej inteligentną, zboczeń w niej nie brakuje, czasem idzie manowcami, błąka się, utyka, wacha, i sięgając do pięknéj lilji chwyci oset lub pokrzywę albo czasami zmieni się w lisa, lamparta, małpkę lub żmiję, bo przynajmniéj pragnie dobrego, stara się o nie, dopytuje, bada z widoczną chęcią poprawy, więc jest na drodze obudzającéj jak najpiękniejsze nadzieje. Nie o takich zatem pragnę z Wami pogawędzić, ale o pewnéj cząstce pracowników miejskich, z któremi na szczęście wsie żadnego nie mają stosunku.

Są to tak zwani litografi, z jakiemi w części rysunkowéj mamy prawdziwe urwanie głowy.

Przedstawię ich Wam..... kortyna się podnosi, reprezentacja rozpoczęta. Na dwóch stołach leży kilkanaście pism zagranicznych, z rozwiniętemi tablicami. Przy nich redaktorka bardzo zakłopotana, mierzy, przykrawa, porównywa, znaczy wybrane do skopjowania i czeka dzień jeden, drugi, czasem trzeci, na rysownika, żeby wziął robotę i wykonał ją jak najśpiesniéj. Czwartego dnia wreszcie zjawia się.

— Ach! panie I..... jakże możesz tak późno przychodzić? Tyle razy posełałam, prosiłam....

— Przeprowadzałem się proszę pani.....

— Ależ w środku kwartału nikt się nie przeprowadza.

— Prawda..... zapomniałem..... w domu porządkowano.....

— Ale co pan mówisz! przecież żaden z posłańców porządków tych nie widział.

— Nie widział? to widać zdawało mi się; człowiek tyle ma różnych kłopotów na głowie, że aż życie brzydnie, i jeżeli mam prawdę powiedzieć, to przez te dnie chodziłem za pożyczeniem dziesięciu rubli na komorne, bo gospodarz zagroził mi wyrzuceniem.

— Przez całe trzy dni?

— I to jeszcze się mało pokazało, bo i tak z nikogo grosza nie mogłem wydusić.

— A jakże się stało z gospodarzem?

— Obiecał tydzień jeszcze poczekać.

— Czemużeś więc pan nie przyszedł po robotę? byłbyś i mnie zawodu nie zrobił, i gospodarza zaspokoił.

— A proszę pani, gospodarz mój to taki heretyk, że i godziny nie chciał czekać.

— A jednak czwarty dzień czeka i jeszcze tydzień prolongował.

— To prawda, ale nie wiedziałem, że taki będzie cierpliwy.

W tem miejscu redaktorka westchnęła a pan I.... przestąpił z nogi na nogę. Po chwili robota została wskazaną i odebraną; przy czem redaktorka nieomieszkała z najmilszym uśmiechem prosić przy pożegnaniu o pośpiech jak największy.

— Nie potrzebuje mnie pani o to prosić, ja tak grosza pragnący, jak dżdżu kania to i nocy przysiedzę.....

— Więc na kiedy pan wykończy?

— To? z litościwą miną zapytał pan I.... wskazując na rysunki, jakby do skopjowania ich dosyć było jednego pociągnięcia pióra — to? będzie za trzy dni, najpóźniéj na dziesiątą godzinę rano.

— Więc przygotuję panu zaraz drugą tablicę i trzecią i czwartą; z bielizną, z drobiazgami, z krojami....

— A i owszem, tego mi właśnie potrzeba.

— Tylko mój panie I... nie zrób mi pan zawodu....

— Ale niech pani będzie spokojną, przecież ja z zarobku żyję, to abym go miał tylko, niedojem, niedośpię, a od stolika nie oderwię się na chwilę.

— Daj to Boże.....

— Pani wątpi?

— Doznawszy zawodu kilka razy....

— To była ważna tego przyczyna, ale tu zrobię jeszcze przed terminem.

— Pamiętajże pan, bo każda redakcja jak fabryka, wszystko w niéj musi być jak w zegarku.

— Alboż to nie znam tego!

Stosownie więc do tak solennego zapewnienia, rozporządza się robotą w litografii, przygotowywują stosowne artykuły, opisy, tymczasem mija dzień terminowy, mija drugi, pan I.... przepadł jak kamień w wodzie. Biegnie więc posłaniec za posłańcem, co pół dnia, potem co godzina, bo w redakcji wszystko czeka i na opak idzie, a pana I... nikt nie może zastać w domu. Wreszcie nad wieczorem któregoś dnia, ułowiono go przecie.

— No i cóż, kiedyż robotę przyniesie?

— Ej! proszę pani jeszcze jéj nie zaczął!

— Czy to może być? odzywa się redaktorka z rozpaczą, załamując ręce.

— Widziałem kamień stoi tak jak go postawiłem, ani tknięty nawet.

— A dla czegóż? czy chorował?

— Powiedział proszę pani, że nie mógl przenieść na sobie, żeby być w długu u gospodarza. Musiał więc chodzić za wyszukaniem pożyczki, ale oświadczył, że na całą noc zasiada do roboty, i przy mnie jeszcze wszystko do rysunku przygotował. Ma być jutro na wieczór jedna strona tablicy gotowa.

Znowu więc mija dzień za dniem, redaktorka się martwi, litografja próżnuje, a posłańcy na nowo drą buty i zrywają nogi; biegając co godzina jeden za drugim. Tą razą zastają go jednak już w domu, ale czy sądzicie, że przy robocie? Wcale nie, kamień leży jak zaklęty, nawet z opakowania nie odwinięty, a pan I.... to naprawia rozdarty surdut pod pachą, to ceruje skarpetki, to pierze, to uprząta, wreszcie śpi albo pomaga przy kuchni skrobaniem marchwi lub oprawianiem prosięcia, ale do rysunków ani myśli się zabrać. Kiedy nareszcie po tygodniu najokropniejszego marudztwa zdecydował się zasiąść do pracy, zachodzi nowa jaka przeszkoda, to inna mniejsza na prędce robótka, to interes jaki, to choroba dziecka, jakie chrzciny, pogrzeb, wesele lub imieniny, dosyć że przeciąga się wszystko czasami do kilku tygodni, a w redakcji tylko się kotłuje, co tak starają się łatać wszystkie pomięszane szyki. Ale jeszcze nie koniec, bo jeszcze zostaje korrekta do zrobienia, to jest poprawa w rysunkach, wszystkich zmyłek i niedokładności, aby początkujący z krojów lub deseni, nie byli na zawód narażeni. Poprawka taka zwykle trwa parę godzin, mimo tego wlecze się przez cały tydzień czasami, że z pewnością nawet święty znudziłby się i z niecierpliwił. Na robione uwagi marudzenia czasu nad robotą niewłaściwą, pan I.... odpowiada:

— „Ja proszę pani żadnéj się roboty nie wstydzę!

— „Ale tu nie o wstyd idzie, tylko o czas. Na skrobaniu marchwi i skubaniu gęsi, oszczędzasz pan najem pomocnicy parę złotych wynoszący, a tracisz dzień cały mogący przynieść zarobku kilka rubli.

— „Ale słowność, rzetelność, uczucie własnéj godności, sumienie wreszcie, czyż nie mają żadnego u pana znaczenia?"

Na argumentację taką p. I..... żadnéj nie udziela odpowiedzi, jakby mówiono po chińsku lub arabsku i złożywszy wszystko na nieprzewidziane okoliczności, przyrzeka solenniter na przyszłość poprawę, to jest podobne kubek w kubek marudzenie, lub jeszcze lepsze i tego święcie dotrzymuje. I tak idzie w kółko, bez końca, tylko z pewnemi odmianami na inny manjer. Dla tego unikając podobnych przysmaków panowie Wolf i Gebetner, zwinęli ze stratą litografią, a roboty dość znaczne wykonywać będą odtąd za granicą. U nas wszędzie pracy po uszy, gdzie spojrzysz źródła zarobku coraz się nowe otwierają, tylko brak ludzi chętnych i gorliwych do roboty. Każdy pragnie być panem, ale nie pracą, tylko jakim nadzwyczajnym sposobem, odkryciem skarbu, lub wygraniem na loterji głównego losu.

Drugie urwanie głowy, mamy z farbiarniami. Wykończenie np. roboty przyrzeczono za miesiąc. Upływa termin, naturalnie na próżno, zaczyna się więc procesja z chodzeniem i przypominaniem, i dowiadu-

jesz się w końcu, że dana materja nie może być ufarbowaną na bronzowo tylko na czarno. Z właściwym więc interesantem przeprowadza się korrespondencja, przyjęcie czarnego koloru zdecydowane, o czem farbiarnia zawiadomiona, przyrzeka wykończenie, za dni dziesięć. Przychodzisz w terminie.... zamiast roboty oświadczają ci, że przekonali się teraz dopiero, iż mogą ufarbować na brązowo, dla tego wstrymali się aż do nowéj decyzji. Przyjmujesz chętnie zmianę, prosisz tylko o pośpiech, z uśmiechem anielskiéj dobroci przyrzekają takowy i wyznaczają nowy zwykle krótki termin. Ale upływają tygodnie, miesiące, chodzisz, prosisz, błagasz; przypominasz, od interesowanych osób odbierasz list za listem coraz natarczywsze, zaczynasz więc gniewać się, łajać robić wyrzuty, wszystko nic nie pomaga, farbiarnia przemienia się w granit, zwleka z dnia na dzień i po czterech lub pięciu miesiącach wydaje ci wreszcie robotę, często z brakiem jakiego kawałka lub całego nawet bryta, albo nawet cudzą. Sprostowanie omyłki nową wywołuje zwłokę, ale nie zawsze z pożądanym skutkiem, jożeli zaś robotę odbierzesz całą niepoplamioną, niewymagającą nowego przefarbowania, to będzie prawdziwym cudem, z którym można się przed całym światem pochwalić.

Trzeciem urwaniem głowy..... ale dosyć tego na dzisiaj, bo lękam się aby Redakcja na prawdę bez głowy nie została.

O UBIORACH

Paryż d. 12 Kwietnia 1866 roku.

Wspominaliśmy już nieraz, że pod względem ubrania, Paryż dzieli się na dwa wielkie obozy, odmienne od siebie zupełnie. Podczas gdy w jednym obozie panuje nadzwyczajna ekscentryczność i przesada, drugi tymczasem wziął za godło wielką prostotę, połączoną z wdziękiem i prawdziwym gustem. Żurnale mód paryzkie dzielą sie równie w opinjach, i kiedy jedne zachwalają wszelkie świecidła i dziwactwa, inne tymczasem podnoszą prostotę i upowszechniają smak dobry, godny szczerego poparcia. Co do nas trzymamy się chętnie tego ostatniego kierunku, i radzibyśmy wpoić całem sercem w Czytelniczki nasze to zbawienne pojęcie, że piękność ubrania, bynajmniéj nie zależy od ilości nagromadzonych ozdób, lecz od harmonji w układzie, od rozwiniętego w nas uczucia estetycznego, które kształcąc się podnoszeniem całéj naszéj istoty moralnéj, nie da się słowami określić.

O brak tego przymiotu Polki oskarżać nie można, przesadę, śmieszność w ubraniu, zbyteczne go obciążanie niepotrzebnemi ozdobami, nader rzadko napotkać można, to też kupcy Warszawscy znając to dobrze, starają się zaopatrywać swe magazyny, w odpowiednie także materjały.

W tych dniach mieliśmy sposobność, obejrzenia tu w Paryżu pięknego zbioru towarów zakupionych przez pana Penkalę z Warszawy, pośpieszam więc z opisem nabytych przedmiotów, odznaczających się prawdziwie wytwornym gustem, o czem w krótce sami naocznie się przekonacie.

Zaczniemy od letnich okrywek, które w téj porze roku stanowią najważniejszą część ubrania. Mówiliśmy już poprzednio, że tegoczesne okrywki składają się po większéj części z krótkich paletocików, wpadających do stanu: dodamy dziś tylko, że w przybraniu ich jak największa panuje rozmaitość. Jedne wycinają u dołu w zęby, inne obszywają falbanką jedwabną lub naszywają wstawką *kluni*, niektóre oprócz epoletów, mankietów i kieszeni, żadnéj innéj nie mają ozdoby. U wielu nakoniec widziemy plecy oznaczone pasmanterją, która przechodząc z tyłu poniżéj stanu tworzy jakby kieszenie. Po tych ogólnych uwagach opiszemy niektóre z pięknych paletotów pana Penkali.

1) Paletocik czarny jedwabny, wcięty, u dołu falbanka blizko na ćwierć łokcia, nad nią woda z materji. Rękawy ścięte do łokcia wązkie, od ramienia buffy tworzą krótki bufowany rękawek, ukończony u dołu falbaneczką.

2) Paletocik jedwabny, u dołu po bokach pliska jedwabna z pod téj wychodzi koronka biała *kluni* szeroka na cal. Z tyłu na zszyciu koronka podniesiona w górę na pół łokcia. Epolety złożone z pliski i koronki kluni, mankiety odpowiednie.

3) Paletot szamerowany z obu stron na przodzie bogatą pasmanterją w drabinkę, przytwierdzoną guzikami. Kieszenie po bokach wielkie, czworograniaste, przybrane u spodu pasmanterją. Takież naramienniki i mankiety.

4) Paletot przystrojony na piersiach rozetami z pasmanterji. Kieszenie, epolety i mankiety przy-

brane odpowiednio. Po bokach i u dołu żadnego nie ma garnirunku.

5) Paletot z przodami wyciętemi w zęby i naszyty dwa razy pletnią z grelotkami u brzegu, od zębów spadają kwasty. Mankiety i epolety stosownie naszyte, przód spięty na trzy pletnie i na guziki z pasmanterji.

6) Paletocik rozcięty po bokach do stanu, przybrany pletnią i koronką czarną gipiurową. Po bokach półokrągłe kieszenie, objęte pletnią i gipiurą. Na ramiona klapka z pasmanterji obszyta gipiurą dokoła.

7) Paletocik jedwabny. Plisa przechodzi od przodów przez ramiona, oznacza boczki na plecach i tworzy jakby długie kieszenie, zakończone kwastami. Plisa ta objęta wązką gipiurą, na ramionach szersza koronka tworzy epolety. Kieszenie na przodach z szeroką klapą, objętą plisą i gipiurą.

8) Paletocik jedwabny—obszyty kilka razy wązką frendzelką daną raz koło razu. Epolety, mankiety i kieszenie stosowne.

9) Paletocik z płaskim kapturkiem. Plecy oznaczone pasmanterją. Rękawy przybrane odpowiednio.

10) Paletocik z przodami zaokrąglonemi u dołu, obszyty w koło ruszką. Kieszenie z wielką klapą, przybraną stosownie, równie jak epolety i mankiety u rękawów.

Niektóre paletociki naszyte są bogato pasmanterją tak na przodach, jak w tyle. Pasmanterja w nowym rodzaju, podobna zupełnie do kanwy przerabianéj sieczką czarną. Niektóre znów mają epolety złożone z pukielków wstążki spadających na dół. Takaż kokarda zdobi plecy, od niéj spadają długie końce do dołu paletocika.

Wiele też paletocików ubierają koronką kluni białą z czarnem, do ozdoby niektórych używają też łańcucha czarnego *Benoiton* spadającego w festonach na plecy. Te ostatnie mają zwykle płaski kapturek.

W paletocikach wełnianych p. Penkala ma też piękny dobór. Najmodniejsze są z wyrobu angielskiego *chinée* w dwóch odcieniach. Jedne z saméj wełny, inne znów nakrapiane jedwabiem. Wełniane paletoty bywają zwykle wolniejsze w stanie od jedwabnych, żeby je można zarzucić na wierzch ubrania. U tych guziki stanowią główną ozdobę.

Po większéj części mają płaskie kapturki do zabezpieczenia głowy od zimna w chłodny wieczór. Niektóre na wszystkich szwach naszywane są pletnią czarną. Kieszenie u nich szerokie, czworograniaste naszyte odpowiednio.

Oprócz paletotów pan Penkala zakupił piękne Beduiny z materjału w pasy zwanego *Hiny Hony*, jeden pas atłasowy drugi mat. Do najmodniejszych należą czarne z białem, pąsowe z białem, szafirowe z białem. Do teatru na lato stanowią Beduiny te bardzo ładne okrycie. Śliczne też widzieliśmy beduiny z lekkiéj tkaniny *Chaly* w pasy, tworzące deseń koronkowy.

Dla starszych osób zwróciły uwagę naszą mantyle, zapinane u góry. Jedne objęte wolantem mają z przodu długie końce, również wolantem zakończone. Inne z podpięciem do podłożenia ręki bez wolantu przybrane są pasmanterją.

Uważaliśmy także dla starszych osób burnusy wełniane czarne i szare, z wyrobu sztywnego, przerabianego nakształt piki, z płaskim kapturkiem, obłożone materją.

Zalecamy też piękne Beduiny z koronki wełnianéj *Lama* i cieńsze zwane *Terneaux*; równie jak piękne chustki rogówki z takiejże koronki wełnianéj. W magazynie pana Penkali znaleść będzie można znaczny zbiór chustek czarnych grenadinowych, i kaszmirowych haftowanych, z frendzlą albo koronką.

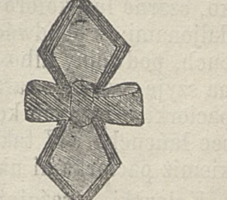
Na zakończenie naszego sprawozdania o okrywkach dodajmy nakoniec, że pan Penkala zakupił śliczny zbiór szalów francuzkich, z fabryki p. Duché, najpierwszego fabrykanta paryzkiego, ozdobionego medalem. Jedne z tych szalów są całkiem zarabiane, inne mają do koła piękne szlaki, inne wreszcie przerabiane są w podłużne pasy. Desenie w nich zalecają się prawdziwie artystycznem wyrobieniem.

Cena ich w Warszawie będzie od 40 do 400 rs. Co się tyczy sukien to Gabryele powszechnie dziś przyjęte. Między innemi widzieliśmy bardzo piękną z materji jedwabnéj orzechowéj w czarne atłasowe pasy. Spódnica długa, powłóczysta, objęta była u dołu grubym sznurem jedwabnym czarnym, przerabianym paciorkami z lawy. Przód od góry do dołu spinał się na guziki szmuklerskie czarne, przerabiane także lawą. Na ramionach szły węzły z takiegoż sznura, zakończone spadającemi kwastami. Mankiet przy wązkich rękawach odpowiednio był przybrany. Od pleców spadała nie wielka baskina, przytwierdzona węzłem z kwastami.

Inna Gabryela morowa ciemno popielata *gris d'acier*, objęta była zarówno czarnym sznurem z lawą, spięta na guziki z lawowych czarnych kamei. Na gładkim staniku, odznaczał się pięknie wielki kołnierz z koronki *kluni*, w formie zwanéj *Richelieu*. Jest to wielki kołnierz z przedłużonemi z przodu końcami, w rodzaju chusteczki. Od rękawów wywinięte były szerokie mankiety koronkowe. Moda takich mankietów, coraz się bardziéj upowszechnia; forma ich zwyczajna, zakończona w ząb na środku. Powinny zupełnie przystawać do rękawa od sukni, chociaż takowy wolny jest, aby ręka przejść mogła.

Do ubrania na ulicę, widzieliśmy suknią z wyrobu wełnianego nakształt popeliny, w kolorze dziko popielatym. Pod spód szła takaż sama spódniczka, naszyta nad obrębem dwoma czarnemi jedwabnemi pliskami, na cal jeden. Zwierzchnia spódnica żadnego nie miała garnirunku. Na każdym brycie podpięta była klapą, któréj dajemy tu rysunek. W środku klapy szła kokarda z materji czarnéj, w koło klapka objęta pliską czarną. Do tego szedł paletocik objęty dwoma jedwabnemi pliskami.





Inna znów suknia, w kolorze fijołkowym, z wełnianego także wyrobu, miała takąż samą spódniczkę naszytą u dołu pięć razy czarną wełnianą pletnią. Zwierzchnia spódnica, podpięta była na każdym brycie,

klapkami złożonemi z trzech zębów. W każdym zębie szedł wielki rogowy guzik. Paletocik obszyty był cztery razy taśmą. Epolety i mankiety u rękawów, stosowne też miały naszycie. Przód spinał się na cztery wielkie guziki.

Dla młodéj osoby uważaliśmy ładną spódniczkę z lekkiéj materji jedwabnéj niebieskiéj w białe drobne paseczki. Miejsce stanika zastępowała biała muszlinowa koszulka. Koszulka ta miała przód *en plastron*, złożony ze wstawek *kluni*, i listewek z gładkiego muszlinu. Przez środek szła wstążka niebieska na dwa palce; naszyta z wierzchu brzegiem, wąziuchną koroneczką. Po bokach od ramienia do paska szła z każdéj strony takaż wstążka. Rękawy dosyć wązkie, miały przez środek wstawki naszywane w drabinkę. Na zakończenie tych wstawek, wstążka przechodziła w podłuż rękawa, z każdéj strony. U szyi był mały kołnierzyczek z niebieskiéj materji ze spadającemi końcami, naszyty brzegiem koroneczką. Nad ramieniem i u ręki odpowiednie było naszycie.

Kołnierzyki teraźniejsze, mają wszystkie końce mocno przedłużone, rozchodzące się na obie strony. Końce te w rozmaitych kierunkach naszywają koronką kluni, lub też medaljonikami. Ładne też są kołnierzyki stojące złożone tylko z koroneczki obróconéj w górę. Z przodu spadają dwie klapki, złożone ze wstawki kluni i muślinowéj, objęte z trzech stron koroneczką. Klapki te długie blisko na ćwierć łokcia mają trzy cale szerokości.

Do większego ubrania, mniéj teraz używają kołnierzyków webowych, jak to dotąd bywało, lecz je zastępują koronkowemi. Najwięcéj widać kołnierzyków z koronki kluni. Rozmiary ich rozmaite, zacząwszy od bardzo wielkich aż do średnich, wszystkie jednak mają końce spadające w zęby. Do kołnierzyka koronkowego, mankiety bywają takież same odwinięte na rękaw od sukni.

W czesaniu włosów panuje wielka rozmaitość. Najwięcéj jednak widać drobnych loczków nad czołem. Ubranie to zowie się *Empire*, pochodzi bowiem z czasów pierwszego cesarstwa. Na tył głowy spadają koki, złożone z grubych natapirowanych loków, zwanych *marteaux*, loki te pokryte zwykle drobną niewidzialną siateczką. Wpinają je nie zbyt nisko, lecz więcéj ku środkowi głowy. W górze przytwierdzają grzebieniem z odwiniętą szeroką ławką. Czasami grzebień bywa złoty częściéj jednak szyldkretowy, przerabiany złotem lub srebrem.

Łańcuchy *à la Benoiton* powszechnie przyjęte do ubrania głowy. Po nad czołem idzie aksamitne czółko, czarne lub kolorowe, przepinane stosownemi medaljonami; z obudwóch boków przytwierdza się łańcuch, podwójny albo potrójny, który spada w festony na szyję, tworząc zarazem naszyjnik. Białe perły lub paciorki w różnych kolorach zastępują niekiedy miejsce łańcucha. W takim razie czółko powinno być takiemiż paciorkami naszywane.

Kolczyki teraźniejsze mają formę koła; lub też składają się z kilku ogniw, przeciągniętych przez siebie jak łańcuch. Rozmiary ich zawsze są wielkie, a niekiedy aż do przesady posunięte, długie blisko na ćwierć łokcia.

Opis ryciny.

Figura 1. Ubranie wizytowe. Suknia z Irlandzkiéj popeliny *mordoré*. Takiż sam paletocik podbity białą marseliną, obszyty sznurem z pasmanterji. Na ramionach węzły ze sznuru. Kapelusz biały z tiulu jedwabnego i materji. Z tyłu spadają końce. Nad czołem położone piórko tworzy podpięcie *en diadème*.

Figura 2. Suknia jedwabna popielata w formie Gabryeli. Przez środek sukni idą gwiazdy z gipiury kluni i ze wstążki. Dwie wstawki gipiurowe na podwleczeniu szafirowem odznaczają tunikę. Wstawka odznacza także kaftanik na staniku. Rękawy u góry i u ręki przybrane odpowiednio. Kołnierzyk objęty gipiurą.

Ubranie ośmioletniego chłopczyka. Majtki szerokie półaksamitne, przybrane klapkami z torsadki. Bluzka półaksamitna, naszyta odpowiednio, przepasana paskiem. Kołnierzyk płócienny.



Pani Malwinie Pień. Staniki do amazonek noszą zupełnie gładkie do paska, zapinane z przodu na guziki, rękawy wązkie. Forma na okrycie aksamitne kosztuje kopiejek 75.

Pani F. Miłasze. rs. 190 odebraliśmy; przesyłkę starać się będziemy jak najprędzéj wyprawić.

Pani M. O. Tuzin chusteczek batystowych szamoa kosztuje rs. 13, tuzin płóciennych 9 rs.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 16 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 9 (21) Kwietnia 1866 r.

PAMIĘTNIK MŁODEJ MĘŻATKI

PRZEZ

WIKTORA CHERBULIEZ

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg.)

I zbliżając się do mnie, ośmielił się dodać: Wszelkie umowy pieczętują się zazwyczaj uściśnieniem dłoni.

Ale odpowiedziałam prędko: Racz pan zwolnić mnie od téj formalności: zdaje mi się, że widzę na ręku pana plamy z atramentu. Czy wolno udzielić mu rady? nie miéj pan zwyczaju pisać, margrabiowie dawnych czasów nie wdawali się w pisanie; w pewnych razach jest to błędem nie do darowania, niemal śmiesznością.

To powiedziawszy wyszłam z salonu, zostawiając go niepojęcie zdziwionym; o ile mi zdaje teraz dopiero zaczynał zastanawiać się nademną.

Łatwo być silnymi w wielkich życia przesileniach; gwałtowność nieszczęścia podnosi duszę, zawraca głowę, upajamy się własną rozpaczą; ale upojenie to nie może trwać długo, i serce które chwilowo czuło się jakby uniesione swą boleścią, opada ciężko samo na siebie. Tak, łatwiéj znieść nieszczęście niż wszystko co mu towarzyszy; bo wielkie cierpienia są to królowe ukoronowane straszną pięknością, ale wloką za sobą długi szereg małych i nędznych boleści, z których żadna nie ma nazwiska ani znaczenia, a niegodny i szyderczy ten orszak, uwłacza wielkości ich majestatu. Czy czytałeś kiedy *Delfinę* czcigodny ojcze? W téj to książce nieśmiertelnym pendzlem odmalowano „słabostki, małostki i nędze nieodstępne od wielkich nieszczęść, nudy których rozpacz nawet rozpędzić nie zdoła, niesmak nie uśmierzający szorstkości cierpienia.“ I dla tego to nie trudno być odważnym w pierwszéj chwili, i dla tego toż samo serce, które równoważąc swe siły z gwałtownością doznanego ciosu, śmiało, że tak powiem rzuciło się w swą boleść, cofa się potem z przerażeniem przed niezliczonym, strasznym szeregiem napotykanych w niéj szczegółów. Co do mnie, czułam dobrze, że wysilenie moje przekroczyło granice wrodzonéj mojéj odwagi, i że powinnam lękać się reakcji, podtrzymywałam jednak swoją smutną rolę z wytrwałością którą sama podziwiałam niekiedy, a którą pani d'Estrel prawdziwie uwielbiała.

— Jakże to wielką masz siłę charakteru! rzekła wysłuchawszy mych zwierzeń. Postanowienie twoje przeraża mnie, bo znam trudności z jakiemi walczyć ci przyjdzie; postawiłaś się w nadzwyczaj trudnem i drażliwem położeniu, a jednak nie mogę cię ganić; przedewszystkiem radziłaś się swego charakteru, a jest to najkompetentniejszy sędzia. Żal mi szczerze że doświadczenie moje na nic tu przydać ci się nie może, ale w całéj przeszłości mojéj nie ma nic coby z obecném położeniem twojem zestawić można. Nie ukrywałam przed tobą, że wiele, bardzo wiele w życiu przebolałam. Pan d'Estrel nie był Maxem, był to prosto człowiek goniący za uciechami, odurzony wrzawą życia, nie umiejący znaleść jednéj chwilki, w któréjby choć parę słówek zamienił z sumieniem. Zawsze zatopiony w uciechach, biegający za użyciem i że tak powiem, zadyszany swem szczęściem, gdy już przesycił się jakąś rozkoszą, zmieniał tylko wierzchowca i gonił za inną. Nie trudny w wyborze, biorący wszystko co mu się nadarzało, dziwnem zrządzeniem losu, który zawsze ma słabość do głupców, nigdy nie zatęschnił, nigdy nie zbrakło mu przeprzągów, umarł przy ostatnim: dobry zresztą człowiek, naiwny w swych występkach, nikomu źle nie życzący, ale przejęty takiem uwielbieniem dla swéj szacownéj osoby, że uważał mnie za nazbyt szczęśliwą skoro miałam zaszczyt nosić jego nazwisko, i byłby nie wyszedł z podziwienia, gdyby kiedykolwiek usłyszał skargę z ust moich. To też nie uskarżałam się nigdy, udawałam że nic nie widzę, nic nie odgaduję, nic nie czuję, i zamknęłam się w pogardliwem milczeniu, w téj zwykłéj ucieczce dusz zbyt słabych aby walczyć z przeznaczeniem, zbyt dumnych aby go podchodzić. Inna rzecz co do ciebie, kochana Izabello, ty masz siłę i hart duszy potrzebny do stoczenia walki, serce twoje nie ulęknie się nawet tak strasznego jak Max przeciwnika, wytrwaj więc na obranéj drodze odwaga twoja cię zbawi, i z zupełną pewnością zapowiadam ci wygraną.

Zalałam się łzami.

— Jaką wygraną, wyjąkałam? O czemże pani myślisz? o czem marzysz? Czyż nie pojmujesz że tylko rozpacz dodaje mi odwagi? I czegóż można się spodziewać, jeśli ktoś nic i niczego już nie żąda? Odzyskać serce Maxa? ależ on mnie nigdy nie kochał ja kochać go przestałam, dziś sama myśl owéj wygranéj przejmuje mnie zgrozą! O! nie ciesz, nie łudź mnie pani daremnie; dla mnie już nie ma przyszłości, czuję z przerażeniem jednostajną stałość czekających mnie cierpień i boleści. Ach! czemuż nie mogę nawet spodziewać się nowych walk, choćby mi przyszło podwojoną miarą cierpień opłacić wywołane niemi wzruszenia! Ale nieszczęście moje nic od przyszło-

ści spodziewać się nie może, czem jest dziś tem będzie jutro i tak powtarzać się będzie bez końca, dopoki nie nadejdzie starość a z nią zdziecinnienie i niedołęztwo; bo nieszczęście zbyt długo trwające traci w końcu całą swoją godność, przestaje się szanować, dusza się poniża; niesmak i znużenie stokroć gorsze niż cierpienia, oto podarunki jakie czas daje boleści. Nie rób mi więc pani niemożliwych nadziej; niestety! cóż zdołałam ocalić z rozbicia, oto żądałam aby mi wrócono wolność moją, marne szczątki które duma moja za skarb sobie poczytuje, ale w rzeczywistości wolność ta na nic mi się nie przyda, bo jakiż mogę z niéj zrobić użytek? O! nie posądzaj mnie pani, o jakieś ukryte, niegodne wyrachowania; ja miałabym udaną obojętnością wdzierać się do serca człowieka, który posiadał mnie, nie kochając; o myśl taka byłaby srogą dla mnie zniewagą. I czemże to byłam dla niego? prędko zasyconą zachciewką ciekawości.... Czyż nie pojmujesz pani, że najstraszniejszem z cierpień moich jest gorzka boleść żem mu się oddała? zdaje mi się, że uściski jego naznaczyły mnie jakiemś piętnem hańby, którą pragnę zmyć i pomścić najzuchwalszą pogardą.

P. d'Estrel łajała mnie za moje uniesienie się, przemawiała do rozumu, zalecała spokój, ale nie byłam w stanie słuchać jéj ani zrozumieć. Ona nie kochała nigdy, czemże więc były jéj cierpienia w porównaniu z mojemi? mogłaż pojąć miotające mną uczucia? Jednak pod jednym względem miała zupełną słuszność, położenie moje było bardzo trudne; jakże to ciężko przez długi czas okazywać obojętność kiedy ból szarpie serce!.. ileż to razy, niestety! miałam sposobność, przekonać się o tem. W Paryżu miałabym stokroć mniejsze do zwalczenia trudności, gwar i wir wielkiego świata byłby stanął między mną a Maxem, ale w samotnym Lestangu niepodobna było uniknąć nieustannych sam na sam; nie mogłam nawet okazać jak przykremi były dla mnie, aby Max nie sądził że lękam się jego lub siebie saméj.

Była to właśnie myśl którą pycha jego napawała się tajemnie. Nie wierzył i lekceważył kobiety; nie przyznawał im żadnych wyższych przymiotów stanowiących wielkość i godność duszy, i dla tego dotąd kochał je nie szanując wcale. Mówiąc, kochał je, użyłam niezbyt stosownego wyrażenia, bo miłość wymaga choć ułudy szacunku — on zaś dla tego jedynie pożądał miłości kobiet, że nie poddają się bez walki, że trzeba dobijać się o nie i że tak powiem, wydzierać innym lub samym sobie; wątpię jednak aby we wszystkich swoich miłosnych przygodach, zaznał kiedykolwiek inne uniesienie, nad upojenie zwycięztwa i tryumfu. Wszyscy mamy jakieś bóstwo, jedynem bóstwem Maxa była nieubłagana jego duma, któréj składał w ofierzu swe serce i życie. Wyższy nad poszepty prostéj zmysłowości, te tylko rozkosze cenił wysoko, których zasycenie kosztowało go niesłychanie wiele zachodów i trudów, i dla tego uganiał się namiętnie za każdem sercem, które odpychało go obojętnie i silny stawiało opór jego żądzom; ale raz posiadłszy odchodził niezadługo znudzony i znużony, jak ów myśliwiec polujący namiętnie z upodobania w nieodłącznych od polowania trudach i przygodach, a gdy po zaciętych uganianiach, doścignie nareszcie i ubije upatrzone zwierzę, nie raczy nawet schylić się aby je podnieść. W oczach jego, kobiety miały jakąś tylko umówioną, konwencjonalną wartość; społeczeństwo umyśliło sobie nadać ich cnocie wielką bardzo wartość, one uwierzyły temu na słowo, i dla tego mają zwyczaj targować się tak długo; lecz wyjąwszy téj zasługi oporu, budzącéj w mężczyźnie najżywsze i najmilsze wzruszenia, uważał je w ogóle za istoty podrzędne, za cudne żyjątka kierujące się tylko instynktem, z którymi wszystko można zrobić cukierkiem i groźbą. Odmawiał im zaś bezwarunkowo jedynych cnót które wysoko cenił, to jest: doskonałéj szczerości, dumy, wzniosłości duszy, prawdziwéj odwagi i niezłomnéj wytrwałości woli.

Obecne postępowanie moje zdziwiło go niepojęcie od pierwszéj zaraz chwili; spodziewał się wyrzutów i scen rozpaczy, znalazł obojętność i dumę; podniosłam rękawicę i przyjęłam wyzwanie, ale czyż potrafię wytrwać do końca? czy odgrywana rola nie znuży mnie w prędce? Oto pytania jakie mi zadawał milcząco. Ciekawość jego była podbudzona; śledził wszystkie moje ruchy, kręcił się koło mnie nieustannie, pragnąc dopatrzyć słabości kryjącéj się pod pozorną siłą; gdybym się była zdradziła jednem słówkiem, jednem westchnieniem, spojrzeniem, lub choćby tylko najmniejszym ruchem, byłby niechybnie wydał okrzyk zwycięztwa. Chwilami, oczy jego wlepione we mnie magnetycznym jakimś ogarniały mnie urokiem; jego ostre i przenikliwe wejrzenia przeszywały mnie na wylot, budząc w sercu zimno jak dotknięcie stali; jego uśmiechy przejmowały mnie dreszczem, jego szyderska grzeczność burzyła mi krew; ale podwajałam baczność, nakazywałam ją oczom, twarzy, i prawie tłumiłam wybuchy gniewu, co chwila cisnące się na usta. Sama myśl zachwiania się lub upadku przejmowała mnie zgrozą, nie dla tego abym się lękała iż Max chciałby korzystać z méj słabości, ale duma jego byłaby zadowolnioną, a zdało mi się że nie przeżyłabym wstydu jakimby mnie okrył tryumf jego.

Co do Maxa, wielką oddałam mu przysługę, pracowałam rzec można, nad jego szczęściem. Teraz już nie nudził się, nie myślał o polowaniu na lwa, życie odzyskało swój powab, dostarczyłam mu zajęcia; miał widowisko, uważał, badał, czekał, miał zakład do wygrania, wyszukałam podniety téj wiekuistéj potrzebie walki, będącéj panującą jego namiętnością; jednak przerażało mnie niewymownie poczucie wyczerpywania się sił moich i coraz mocniéj ogarniające mnie znużenie; czułam że przybrana maska coraz więcéj ciężyć mi zaczyna.

XII.

Pewnego dnia, po śniadaniu, wyszłam nad brzeg lasu i usiadłam w małym dębowym gaiku. Czerwiec zbliżał się do końca, upał był nieznośny, lasy i pola zdawały się w głębokim śnie pogrążone. Najlżejszy powiew wietrzyku nie dał się uczuć w przestrzeni, żadna gałązka, żadna trawka nie zadrgała nawet; środek dnia wywoływał jakby zawieszenie życia w przyrodzie. Same tylko koniki polne dzwoniły po nad dębami; nowy ten dla mnie odgłos zwiastuje na południu zbliżanie się bardzo gorącego lata; słońce obrało konika polnego za swego herolda. Jednotonny jak brzęczenie kobzy, ale cierpki i przykry, wydawany przezeń odgłos jest szerstki i skrzypiący, jak wojenny okrzyk nieubłaganego światła, które wszystko pochła-

nia i zatapia w sobie; zdaje się że słyszymy syk i wrzenie palącego się powietrza i ziemi; jest to muzyka właściwa słońcu, ale ja rozpoznawałam w niéj także odgłos boleści, gwałtowną i jednotonną skargę strasznego mego cierpienia.

Smutny ten śpiew, rozpromienienie dnia, bezwładność jakaś wszystkiego co mnie otaczało, wszystko to dziwnie oddziaływało na mnie; gorzkie i palące łzy popłynęły mi z oczu. W tem nagle Max ukazał się na drugim końcu drogi, byłabym chyba umarła ze wstydu, gdyby był zobaczył lub odgadł łzy moje, wstałam więc nagle i zagłębiłam się w gęstwinie lasu. Po chwili zobaczyłam jakąś ścieszkę, biegłam nią czas jakiś i znowu weszłam w gęsty las oglądając się czy Max nie idzie w tę stronę; poczem mimowolnie wyrzekłam głośno: „Uciekać, uciekać zawsze i wszędzie, o Boże mój! kiedyż się to skończy?

W tejże chwili, tuż obok siebie usłyszałam szelest liści, odwróciłam głowę i zobaczyłam jakiegoś nieznajomego, i zdaje mi się spojrzałam na niego surowo, gniewając się za tę mimowolną niedelikatność. Siedział na kamieniu, pod rozłożystem drzewem, zobaczywszy mnie, powstał z zadziwieniem. Był to dwudziestokilkoletni młodzieniec; wyrazista twarz jego zdradzała cechy południa; miał wielkie czarne ogniste oczy, cerę bladą, bujne w pierścienie spadające włosy, postawę szlachetną, namiętną, jakby poetyczną i nieco dziwną zarazem, tchnącą łagodną słodyczą i jakąś niby surową powagą. Stał przedemną nieruchomy i jakby osłupiały. Jakkolwiek tak zajęta własnem cierpieniem i myślami, nie mogłam jednak nie dostrzedz, że w osłupieniu tem uwielbienie wielką grało rolę; ale nie na tem koniec. Czyżby cierpiał pomięszanie zmysłów? słyszałam wyraźnie jak dwa razy zawołał dźwięcznym i melodyjnym głosem: „Ach! jakaż odpowiedź!“ ochłonąwszy nieco, ukłonił mi się z uszanowaniem, i chciał zdaje się zbliżyć i przemówić, ale zmięszało go spojrzenie jakie nań rzuciłam; wyszeptał więc jakieś tłómaczenie i oddalił się śpiesznie, raz po raz odwracając ku mnie głowę.

Szłam daléj mimo duszącego gorąca; chciałam być pewną że się nie spotkam z Maxem. Stanęłam w otwartem nieco miejscu, na lewo ukazywała się Berra; czerwcowe upały miejscami wysuszyły prawie jéj łożysko, tak że można było przejść prawie suchą nogą: Lato ułatwia im kommunikację, pomyślałam sobie; ale mniejsza o to, dzięki niebu, nic już nie mam do stracenia, niczego nie potrzebuję się obawiać!

Zaszłam aż do dzikiéj ustroni, zakończającéj las z téj strony. Tu grunt podwyższa się nagle, tworząc zaokrąglone skaliste wzgórze, pokryte różnemi krzewy o rozłożystych i gęstych gałęziach. Po nad temi krzewy wznoszą się grupy zieleniejących sosen; usiadłam w cieniu, w małem przez dwie skały utworzonem półkolu, w pośród kwitnących krzewów janowcu. Tu, w tem cichem ustroniu, wśród skał i janowców, mogłam wzdychać i płakać spokojnie, nie lękając się aby ktoś zobaczył łzy moje.

Nie wiem już ile godzin przesiedziałam w téj uroczéj ciszy, gdy nagle odgłos głosów obudził mnie z zadumy. U stóp wzgórza wije się kręta, mało uczęszczana dróżyna, prowadząca do brzegów rzeki, którą wysokie drzewa i krzaki zasłaniały przed mym wzrokiem; dwie osoby szły tą drogą, rozmawiając krzykliwym i ożywionym, sprzeczkę cechujących głosem, z których jeden szczególnie nadto dobrze był nie znanym. Zatrzymały się u stóp wzgórza, właśnie w miejscu gdzie siedziałam, mogłam więc doskonale słyszeć następującą rozmowę:

— Raz jeszcze pytam panią, w jakim celu tu przyszłaś?

— Raz jeszcze odpowiadam panu, co ci do tego?

— Ach! widziałem panią wychodzącą z domu, i zdjęty niepokojem poszedłem jéj śladem.

— Ach! któryż to raz już powtarzam panu, że znudziły mi się twe nieustanne szpiegowania, śledzenia, natarczywość i gniewy.

— Chcąc tu przyjść, musiałaś pani przechodzić przez moje pole.

— Niech Bóg ma w swojéj opiece i pana i jego pole? każ spisać protokół.

— Przyznaj pani, że to umuwione rendez-vous.

— Myśl pan sobie co się podoba.

— Więc już nie dość, że w domu przyjmujesz pani swego kochanka, przychodzisz jeszcze czekać nań na jego gruncie.

— Nie wiem czy przyjmuje kochanka w domu moim, ale wiem, że niegrzeczności pana mogą mnie do tego zachęcić.

— O! nie zapieraj się pani daremnie, mam dowody. Czyż nie znalazłem wiernego mego psa, zabitego na moim własnym gruncie?...

— To tylko dowodzi, że wszystkie psy są śmiertelne. Czemuś pan swoich nie zaassekurował?

— Ej pani, to się źle skończy.

— To się wcale nie skończy, mój panie.

Nastała chwila milczenia, poczem pan de Malombré przemówił płaczliwym głosem: „O jakże jestem nieszczęśliwy! któż mnie uleczy z téj niegodnéj słabości? Kochać panią, kochać tak szalenie, mimo tylu zniewag, tylu zdrad, tylu przyrzeczeń któremi łudziłaś moją łatwowierność....

— Już to co prawda to nie grzech, zrujnowałam się na przyrzeczenia. Jeśli natrętnik za nadto napiera, przyrzeka się, przyrzeka.... a późniéj zmienia zdanie.

— A więc nic nie zdoła pani wzruszyć lub powstrzymać ani moja rozpacz, ani....

— Ach! nigdy nie dowierzałam zbyt ciężkim westchnieniom pana.

— Ani! własna jéj godność....

— Własna godność! to piosenka starych kobiet.

— Ani prawa i spokój młodéj, niewinnéj kobiety, któréj szczęście zatruwasz?

— Ach! czyż chcesz pan szydzić, mówiąc mi o niej? czyliż nie wiesz że wydarła mi serce które do mnie jednéj należało? czyż nie wiesz że jéj niecierpię, nienawidzę, i oddałabym dziesięć lat życia, żeby ją widzieć płaczącą?

— Ach! pani mnie przywiedziesz do szaleństwa! zawołał pan de Malombré; mamże upaść ci do nóg?

— Tu, na piasku!... dajżeż pan pokój, nie mógłbyś się podnieść bez mojéj pomocy.

— Pani mnie znieważasz!... ale stało się, niech będzie co chce, nie ruszę się ztąd, nie opuszczę pani ani na chwilę, jak cień ścigać cię będę wszędzie....

— W takim razie oddalę się ztąd, zawołała z gniewem; ale rozumiesz pan, odtąd niech noga twoja nie postanie u mnie. Już od dawna kompromitujesz mnie pan nieustaunie, jesteś prawdziwą plagą mojego

życia. Taż sama godność moja w któréj obronie występowałeś pan przed chwilą, obowiązek, wszystko, wszystko nakazuje mi nie przyjmować pana więcéj.

To powiedziawszy odeszła; sądzę że poszedł za nią. Doleciały mnie jeszcze oderwane słowa i znowu głucha nastała cisza.

— Czyż rzeczywiście dali tu sobie rendez-vous, pomyślałam i zaraz odpowiedziałam sobie: Ale cóż mnie to wszystko obchodzi, i na cóż mam się tem zajmować?

Zapewnie, nic mnie to nie obchodziło, a jednak nie wiem dla czego, z godzinę jeszcze nie ruszyłam się z miejsca. Nareszcie zaczęłam zastanawiać się nad tem; a rozważanie to wykazało mi, że pozostałam dla wyjaśnienia tak mało obchodzącéj mnie wątpliwości. Zawstydziłam się trochę i wstałam chcąc wracać do siebie, gdy w tem zdala zobaczyłam Maxa. Ukryłam się za pniem drzewa; wyraźnie przychodził na umówione rendez-vous! To mnie jednak mocno zastanowiło, że miał z sobą charciczkę którą mi podarował, i z którą wychodziłam zazwyczaj. Dla czegóż wziął ją z sobą? zdawało mi się, że wysyła ją na zwiady. Psina odlatywała prędko, wietrząc na wszystkie strony, przeglądała zarośla, i nic nie znalazłszy, jakby zawstydzona wracała do Maxa, który wysełał ją znowu. Czyżby mnie szukał?

— Jéj albo mnie, powtórzyłam z oburzeniem; jéj albo mnie!.... Więc mnie to jeszcze obchodzi? więc nie wszystko zamarło w tem biednem sercu? jeszcze drga, jest w niem jeszcze żyjąca jakaś i czująca fibra którą wątpliwość ta dręczy! Ach! kiedyż przecie przestanę słyszeć jego bicie? kiedyż stanie się kamiennem?

Przesunęłam się w śród skał i krzaków, zostawiając tu i owdzie kawałki sukni, i zszedłszy ze wzgórza, zeszłam na drogę wiodącą do zamku.

Muszę oddalić się na czas jakiś, mówiłam sobie, dzisiejsze łzy przekonywają mnie o mojéj słabości; jest to ostrzeżenie. Jutro może znowu nie umiałabym łez powstrzymać, i może dostrzegłoby je i pochwyciło oko zuchwałéj nienawiści. Jest to zbyt świeże wydarzenie, serce moje nie miało jeszcze czasu zmartwieć i skamienieć, pogarda nie zabiła w niem gniewu; trzeba więc, trzeba jechać, wrócę dopiero pewna siebie, pewna swéj obojętności.

Na lewo, na zakręcie drogi, stoi krzyż żelazny, u stóp którego leży gruby pień drzewa, służący za ławkę przechodniom. Na tym pniu siędział nieznajomy którego napotkałam w parku; zadrżał widocznie zobaczywszy mnie, i jak pierwéj wlepił we mnie zachwycone oczy. Teraz pewną byłam że jest dotknięty umysłowem cierpieniem; w tejże chwili jednak, zapanował nad swem pomieszaniem, wstał i zbliżając się ku mnie, ukłonił się z całą swobodą ruchów człowieka światowego.

— Przebacz pani, rzekł, iż pozwoliłem sobie zajść do jéj parku; nie dawno przybyłem w te strony; widzę że tu żadna posiadłość nie jest ogrodzoną; piękny to zwyczaj, ale sprzyja nazbyt niedyskretnym i roztargnionym, i ja nieumiałem oprzeć się pokusie zachwycania się pięknością cienistych gai.

— Nie potrzebujesz się pan tłómaczyć, odpowiedziałam; ale, jeśli się nie mylę, pan szukasz czy czekasz na kogoś; może potrzebujesz jakich objaśnień.....

Zaczerwienił się, zawachał chwilę z odpowiedzią, a nareszcie rzekł wzruszonym głosem:

— Czekam i szukam od bardzo dawna...

I rzutem głowy rozwiewając na ramiona pierścienie długich swych włosów:

— I nie znalazłem czego szukam, mówił daléj, a Bóg mi świadkiem żem nie szukał tego com znalazł.

To powiedziawszy, ukłonił się i odszedł.

— Szczególny młodzieniec, pomyślałam sobie; malarz korzystałby pewnie z jego spotkania.

Wróciwszy zastałam list od ojca; nie mógł w lepszą nadejść porę. Ojciec tęschnił i gorąco pragnął mnie zobaczyć. „Rozstańże się na chwilę ze swojem szczęściem, nie dobra córko, pisał mi, i przybywaj opowiadaniem swojem umilić samotność starego ojca.“ Przy obiedzie zawiadomiłam Maxa o moim wyjeździe. Spojrzał na mnie badawczo i zapytał:

— Jak długo zabawisz pani?

— Zapewnie kilka tygodni.

— Tygodni czy miesięcy?

— Nie wiem jeszcze, odpowiedziałam sucho.

— Nie pozostaje mi więc jak życzyć pani szczęśliwéj podróży, rzekł mi; jakżebym pragnął abyś pani uznała że Jura nie zdoła zastąpić Ventour'u.

Kiedy serce zranione, daremnie zmieniamy miejsca i sposób życia; żadne położenie nie zadowolni nas, bo cierpienie towarzyszy nam wszędzie; poruszając się poruszamy boleść naszą, poznajemy że nie znaliśmy jéj jeszcze w zupełności, i do cierpienia łączy się cierpki niepokój. Jakżem się zawiodła obiecując sobie że w Louveau zdołam odzyskać nieco spokoju i siły! Radość okazana przez witającego ojca, boleśne na mnie zrobiła wrażenie; na jakież to wysilenia musiałam skazywać swoją wyobraźnię, aby odpowiadać na niezliczone jego zapytania. Lecz nie tylko ojciec mnie badał; w tem miejscu tak pełnem pamiątek, wszystko przemawiało do mnie, krzaki, drzewa, nawet drogi i rozrucone po nich kamyki. Jak gdyby dla zasmucenia mnie, wracały nagle do życia tysiączne okoliczności dawno zatarte w pamięci, rysowały się świetnemi barwy, jak piękny haft na ciemnem tle teraźniejszości. W porównaniu z tem co je zastąpiło, nieustannie powtarzałam sobie w myśli, jakież to czyste i niczem nie zakłócone rozkosze te wszystkie moje przeszłe smutki!

Nie potrafię opisać wrażenia jakie mnie ogargęło, gdym weszła do dawnego mego pokoju; chwilkę zatrzymałam się na progu, potem otworzyłam okiennice, światło roztoczyło się wszędzie. Nic tu nie zostało zmienione, wszystko zostałam jak dawniéj, tylko w około panowało jakieś uroczyste, uszanowaniem nieszczęścia nakazane milczenie. I zdało mi się że wszystko pogląda na mnie zdumione jak gdyby poznać mnie nie mogło. Na stoliku przy łóżku leżał zwinięty papier, wiedziałam co zawiera. Był to zeschły kwiat lilji; przypominasz sobie zapewnie, czcigodny ojcze, gdzie i przez kogo był mi podany.

(d. c. n.)